

**Rozmowa pisarza Grigorija Czchartiszwilego (Borysa Akunina) z Michałem Chodorkowskim.**

**G.Cz.:** Najbardziej przykre wrażenie pozostawił sposób, w jaki prowadzono proces. No więc zacznijmy od rządu i sędziów. Wydaje mi się, że dziś w Rosji narasta epoka osobistej odpowiedzialności człowieka za jego czyny. Każdy ma wybór: uczestniczyć w podłości czy nie. W czasach Wielkiego Terroru sędzia i prokurator powielali oskarżenia ze strachu o własne życie. W czasach Breżniewa, gdy odmawiali osądzenia dysydenta, ryzykowali, że sami trafią do więzienia albo do psychiatryka. Teraz chodzi zaledwie o karierę. Można zdjąć togę sędziowską i zostać adwokatem. A zatem wybór nie jest zbyt dramatyczny i nie ma żadnego usprawiedliwienia podłości. Sprawa Jukosu to najbardziej wstydliva karta w dziejach postsowieckiego sądownictwa. Na pewno trafi do podręczników historii. Trafią tam nie tylko nazwiska osądzonych, ale też nazwiska „prymusów” z sędziowsko-prokuratorского środowiska, jak to się stało z niezapomnianą sędzią Sawieliewą, która szkalowała „pasożyta” Josifa Brodskiego. Co pan myśli o wykonawcach, którzy prowadzili śledztwo, oskarżali i wydawali wyrok? Byłem na pana procesie, na procesie Aleksaniana i wciąż wpatrywałem się w ich twarze. Co tam się dzieje w ich wnętrzu? Jest dla mnie zagadką, dlaczego nie myślą o tym, że nie minie tak dużo czasu i własne dzieci będą się ich wstydzić? Co to są za ludzie, jaka jest ich mentalność?

**M.Ch.:** Gdy się mówi, jak zmieniała się Rosja od czasów sowieckich, przypominam sobie proces. Może zabrzmie to głupio, ale proces dał mi możliwość przyjrzenia się moim kolegom, moim współobywatelom. Chciałby pan usłyszeć o prokuratorze Szochinie, o sędzi Kolesnikowej? To są drobni urzędnicy, którym nigdy nie powierzono by takiego procesu, gdyby nie było przeciwko nim zabójczych materiałów kompromitujących. O Kolesnikowej napisała „Nowaja Gazieta”. Była na nią skarga, która leżała bez odpowiedzi w Prokuraturze Generalnej podczas całego procesu. Na podstawie analogicznej skargi jej koledzy dostali po dwanaście lat (afery mieszkaniowej). Nie do mnie należy ustalenie, czy jest to prawda, ale myślę, że Kolesnikowa lepiej ode mnie wiedziała, że prawda w takiej sytuacji nie ma znaczenia. Co się tyczy Szochina, to i jego problemy są zrozumiałe. To, że postanowił nie wystąpić przeciwko zwierzchnikom, natomiast twórczo łągał w sądzie (w tej sprawie złożyłem tam oświadczenie), było następstwem systemu krycia się nawzajem, którego jest uczestnikiem. Teraz próbuje się odrobinę podważyć ten system, a wewnątrz prokuratury jest wiele osób, które chciałyby być niezależne i mogą się takimi stać dzięki temu, że są wykształcone, wymagające i nieskompromitowane. Takich jest wielu, ale nie wszyscy. Dzisiejsza nomenklatura opiera się na istnieniu materiałów kompromitujących, czyli możliwości niszczenia „nieposłusznych”. Czy to dobrze? Ależ oczywiście, że jest to wstretne. Awansuje się najbardziej „umoczonych”, wypaczone zasady moralne rzutują na „doły” i na całe społeczeństwo. Ale po co o nich mówić? To żałośni, nieszczęśliwi ludzie, którzy na starość będą się bali śmierci. W sądzie zdumiało mnie co innego. Oskarżyciel przesłuchał ponad półtora tysiąca osób. Wielu z nich grożono, że zostaną oskarżeni

(z niektórych zrobiono oskarżonych). Na proces dobrano nieco ponad 80 świadków. I ci ludzie, którzy słusznie obawiali się o swój los, nie wzięli grzechu na własną duszę. Nikt, podkreślam, nikt nie świadczył przeciwko mnie i Płatonowi. A niektórzy postanowili nawet wystąpić w naszej obronie. Byli to świadkowie oskarżenia, dobrani spośród tych, którzy mogli się uważać za pokrzywdzonych przez nas. Muszę wspomnieć byłego dyrektora Apatytu Anatolija Pozdniakowa, byłego gubernatora obwodu murmańskiego Jewgienija Komarowa, zresztą kilkadziesiąt innych osób, które znajdując się pod silną presją, odmówiły zeznań niezgodnych z ich sumieniem. Nawiasem mówiąc, wśród nich byli też pracownicy prokuratury, którzy odmówili kłamania na rozkaz swoich zwierzchników (nie wiem, czy warto teraz przypominać ich nazwiska). Żyjemy jednak w zupełnie innym kraju. Owszem, łajdaków jest jeszcze niemało, ale obywatele, prawdziwych obywateli, jest już więcej i trwa proces przeobrażania tłumu we wspólnotę obywateli. Wielki błąd Putina polega na tym, że świadomie czy nieświadomie przyhamował ten proces powstawania społeczeństwa obywatelskiego. Teraz można mieć nadzieję na wznowienie tych przeobrażeń, co sprawia mi wielką radość. Może i głupio brzmią moje słowa.

**G.Cz.:** A dlaczego w ogóle zgodził się pan uczestniczyć w procesie, w tej oczywistej profanacji praworządności? Czy nie słuszniej było od początku ogłosić: „Róbcie ze mną, co chcecie, nie wierzę w obiektywizm waszego sądu i nie zamierzam wam przytakiwać”? A może miał pan jakieś złudzenia?

**M.Ch.:** Będzie się pan śmiał: okazałem się dość naiwnym człowiekiem. To znaczy nie wątpiłem, że prokuratura potrafi długo trzymać mnie w więzieniu, ale prawie do końca nie wierzyłem, że sąd potrafi skazać bez dowodów i – najważniejsze – wbrew oczywistym faktom, a w dodatku w jawnym procesie. Uważałem, że sąd jest jednak sądem, więc niekoniecznie będzie basował oskarżycielom, bo nie może wprost naruszać prawa... Okazało się: jeszcze jak może! Nie, początkowo wszystko wyglądało dość przyzwoicie, lecz w pierwszych miesiącach 2005 roku kogoś dokądś wezwano i wtedy zrozumiałem – z takimi nie ma o czym mówić. Ale została jeszcze społeczność, inwestorzy, moi koledzy, pracownicy spółki. Byłem zobowiązany wytłumaczyć im, że nie pracowali w grupie przestępczej, lecz w normalnym przedsiębiorstwie, które trafiło w tryby oskarżeń o niepopelnione przestępstwa. I to nie tylko ze względów politycznych... To mi się udało, bo – jak widać – wszystkich pracowników Jukosu chętnie przyjmują do pracy i u nas, i za granicą.

**G.Cz.:** Cofnijmy się w czasie. Do chwili, kiedy władza podjęła ostateczną decyzję: posadzić. W minionych latach rozmawiałem na ten temat z wieloma ludźmi. Wszyscy się zastanawiali i zastanawiają do dziś, jaka była prawdziwa przyczyna osobistej wojny Putina przeciwko panu. Zdarzyło mi się wysłuchać najrozmaitszych wersji. Znamienne, że nikt, ani jedna osoba spośród tych, z którymi rozmawiałem, nie brała pod uwagę wersji oficjalnej: że niby Jukos bezprawnie zabrał cudzą własność, złośliwie uchylał się od płacenia podatków i za to właśnie wszystkich tych łajdaków posadzono. Po pierwsze, sam Jukos zagarnięto na oczach wszystkich, bez żenady. Po drugie, wiele osób słyszało, że Jukos płacił skarbowi państwa więcej podatków, niż płaci teraz Rosnieft, który go połknął, a przecież przez ten czas ropa czterokrotnie zdrożała. „Nie za to posadzono Chodorkowskiego” – takie było powszechne zdanie. Teraz wymienię panu obiegu wersje, a pan powie, która z nich jest najbliższa prawdy. Najbardziej zbliżona do oficjalnej hipoteza (nazwalibyśmy ją wersją pierwszą) wygląda mniej więcej tak: Wszyscy oligarchowie lat 90. zdobyli majątek nieuczciwymi metodami. Otrzymali od państwa dostęp do zasobów

naturalnych i dlatego powinni byli przestrzegać określonych konwencji w stosunkach z władzą. Natomiast Chodorkowski, nagromadziwszy miliardy, naruszył tę niepisaną umowę i zaczął się zachowywać jak niezależna siła społeczno-polityczna. Za jego przykładem mogli pójść inni miliarderzy i Rosja znów znalazłaby się w niespokojnym czasie „władzy siedmiu banków”. Owszem, Putin zastosował wobec Chodorkowskiego bezprawne i nieuczciwe metody, ale nie mógł postąpić inaczej. Oligarchów trzeba było postraszyć i nauczyć moresu. Wersję drugą, romantyczną, opowiedziała mi pewna Doskonale Poinformowana Dama. Rzekomo na spotkaniu Putina z oligarchami pan jeden miał czelność zjawić się bez krawata, w golfie, więc Gwarant, bardzo czuły na zewnętrzne oznaki szacunku, miał powiedzieć: „Do Busha pewnie krawat by założył”. I od tej pory chował śmiertelną urazę. Ta sama Dama powiedziała: „I w ogóle on nie znosi wysokich mężczyzn”. (To ostatnie to kompletna bzdura. Wtedy trzeba by posadzić Michaiła Prochorowa).

Wersja trzecia (którą podał mi pewien Mąż Stanu). Kompetentne organy doniosły prezydentowi, że Chodorkowski planuje zainwestowanie miliardów w „pomarańczowy” scenariusz. Dla spokoju społecznego prezydent podjął trudną, lecz jedynie słuszną decyzję. Wersja czwarta jest moja. Łatwo mogę sobie wyobrazić, że człowiek czterdziestoletni, który niegdyś postawił sobie ambitne zadanie, że zostanie największym przedsiębiorcą nowej rosyjskiej gospodarki, w pewnym momencie po prostu uświadomił sobie, że „szczęście nie zależy od pieniędzy”. No, dobrze, stałem się najbogatszy, ale co dalej? Sił mam dużo, pół życia przed sobą, więc chciałbym uczynić coś zakrojonego na naprawdę szeroką skalę: na przykład pomóc Rosji, żeby stała się wreszcie cywilizowanym krajem. I ta stanowczość kogoś mocno zaniepokoiła. Która wersja jest najbliższa prawdy? Co się zdarzyło w rzeczywistości?

**M.Ch.:** Początkowo prawdopodobnie władza chciała mieć materiały obciążające wpływowych biznesmenów, ale potem pojawiły się plany bardziej radykalne. Trzeba powiedzieć, że rozmowa z prezydentem o regułach gry rzeczywiście się odbyła. Podczas tej rozmowy (w 2000 roku) Putin powiedział, że się spodziewa, iż największe spółki nie będą wykorzystywane do zadań politycznych. I my wszyscy (między innymi ja) oznajmiłmy, że popieramy to stanowisko. Grupy biznesowe powinny się znajdować poza polityką, ponieważ od nich zależy zaopatrzenie ludności w nieodzowne towary i usługi. Trzeba zauważyć, że Jukos wykonywał to zadanie do końca, aczkolwiek Prokuratura Generalna uczyniła wszystko, żeby przerwać dostawy (włącznie z zatrzymaniem kapitału produkcyjnego i zablokowaniem kont bankowych). Nigdy nie było mowy, by przedsiębiorcy nie uczestniczyli w polityce jako osoby prywatne lub w drodze lobbowania. Właściwie do 2003 roku zarówno administracja prezydenta, jak i rząd wiedziały od nas samych, komu pomagamy, w jakich sprawach lobbujemy. Wszystko zmieniło się w 2003 roku. Można snuć domysły dlaczego – czy to ze względu na zbliżające się wybory, czy to z powodu polityki informacyjnej przedstawicieli resortów siłowych zbliżonych do „osoby”, czy też po prostu zakończył się kiplingowski „wodny rozejm”. Tak czy inaczej, trend się zmienił gwałtownie i bez żadnych uprzednich zapowiedzi. Muszę szczerze powiedzieć, że wówczas również we mnie zaszły zmiany, które narastały w latach 2001–2002. Przede wszystkim logika rozwoju biznesu międzynarodowego wymagała udostępnienia inwestorom wszystkich poufnych informacji, wymagała całkowitej przejrzystości środowiska biznesowego, czyli ustawowego umocowania wszystkich najważniejszych aspektów działania spółek. Generalnie nowoczesny biznes potrzebował nowoczesnych stosunków społecznych, więc konsekwentnie zaczęliśmy się o nie ubiegać. Nie „tak w ogóle”, ale konkretnie dla naszej branży.

Udało nam się przepchnąć do ustawy o transporcie rurociągowym tak zwany równy dostęp do rury: kwoty, które dawniej „twórczo” co kwartał zatwierdzali urzędnicy, teraz zostały uwzględnione w ustawie. Udało nam się uzyskać ustawowe umocowanie skali ceł – było to jeszcze jedno miejsce masowego „dokarmiania” urzędników – i kilku podobnych poprawek antykorupcyjnych. Przy czym poprawki te wnoszono nie w kuluarach, ale w otwartej debacie parlamentarnej. Pewnego dnia na otwartej naradzie u premiera Michała Kasjanowa zaproponowałem nawet czterem ministrom, żeby ujawnili, dlaczego są zainteresowani zachowaniem poprzednich porządków. Oni publicznie odmówili i zastrzeżenia zostały wycofane. Chcę więc powiedzieć, że prowadziliśmy prawdziwą bitwę. Oczywiście ówczesne metody w porównaniu z dzisiejszymi były „wegetariańskie”, ale i tak niezadowolonych nie brakowało. Jednak miejsce jednych łapowników natychmiast usiłovali zająć inni. Zrozumiałem, że bez wsparcia politycznego z samej góry nic się nie da zrobić. I sprawę korupcji postanowiono przedstawić prezydentowi. Temat poparli Wołoszyn i – zdziwi się pan – Miedwiediew, który wówczas jako zastępca szefa kancelarii prezydenta przygotowywał naradę ze Związkiem Przedsiębiorców i Przemysłowców Rosji (ZPPR).Widocznie kwestia dojrzała nie tylko w łonie ZPPR. Była to głośna narada. Odbyła się 19 lutego 2003 roku. Mówiłem wówczas o gigantycznym rynku korupcyjnym w kraju – 30mld dolarów, czyli 10 procent PKB (nawiasem mówiąc, na początku 2008 roku zastępca prokuratora generalnego wymienił kwotę 240 mld dolarów, czyli już 20 procent PKB). Wkrótce po tym, w marcu, rozpoczęła się „inwazja”. I tu już wytykano każdy błąd. Na przykład wielkie spółki zawsze pomagały w wyborach deputowanym ze swojego terenu i partiom (według obowiązkowego rozdzielnika i według własnego uznania).Wwyniku ujawnienia informacji w spółce postanowiłem wstrzymać nieformalne wsparcie, uczynić je jawnym i personalnym. To znaczy nie „po cichu”, ale publicznie wsparłem Związek Sił Prawicy i Jabłoko, i to nie z pieniędzy spółki, ale z moich własnych, uprzednio spłaciwszy podatki. Niektórzy moi koledzy tak samo jawnie poparli tych, którzy byli im bliscy politycznie. Jest to całkiem cywilizowana praktyka i początkowo wielu urzędników uznało ją za słuszną. Jednakże po lutym 2003 roku zinterpretowano to inaczej: „przygotowanie do zagarnięcia władzy”.